

Weterynarz

Zamknąłem drzwiczki starego sterylizatora i przekręciłem wyszczerbione ebonitowe pokrętko służące do ustawiania temperatury. Były to ostatnie czynności, jakie miałem w planach na ten dzień w ramach obowiązków służbowych. Zawsze tuż przed zamknięciem drzwi wiejskiej lecznicy włączałem sterylizator. Mimo iż była prawie osiemnasta w sobotę, niestety dopiero wychodziłem z pracy. U nas w pomorskim mikromiasteczku albo, jak kto woli, dużej wsi, jaką jest Lubichowo, zawsze jest coś do zrobienia dla weterynarza. A to coś do opatrzenia, a to do wyleczenia, a czasem coś do uzdrowienia, co bardziej wymaga cudu niż interwencji weterynarza. Przeszedłem do poczekalni, przystanąłem na chwilę i złapałem typową zawiechę. Zapatrzyłem się w refleksy żarówki odbijającej się w szybie i zamyśliłem się głęboko. Powróciły wspomnienia z całkiem niedalekiej przeszłości.

Jestem napływowym dobrem Lubichowa. Jeżeli udało mi się dobrze policzyć, mieszkam tu sześć lat, trzy miesiące i dwadzieścia dwa dni. A mieszkam tu dlatego, że nie byłem zbyt dobrym weterynarzem jak na trójmiejskie standardy. W zasadzie zostałem wygnany na wieś przez innego samca, kiedy przegrałem walkę o samicę. Moja samica, żona moja, mimo iż dbałem o jej zachcianki i naszą norkę, harując po 16 godzin dziennie w mojej (naszej, jak zawsze mawiała) prywatnej lecznicy zwierząt, twierdziła, że jestem zwykłym wyrobnikiem. Nie mam tej wirtuozerskiej żyłki do leczenia zwierząt. A skoro tak mówiła, to, biorąc pod uwagę jej wybitne osiągnięcia w rzucie granatem ukoronowane tytułem magistra z przysposobienia obronnego, z pewnością miała rację. Renata miała wrodzoną słabość do weterynarzy. Weterynarze, ratujący życie yorkom, shih tzu, a czasem i buldogom francuskim, byli fetyszem dla mojej żony.

Uwielbiała się nimi otaczać. W naszym licznym gronie znajomych byli prawie wyłącznie „weci” i ich żony oraz „wetki” i ich mężowie. Zapraszaliśmy się nawzajem do siebie, przez nasz dom co tydzień przewalały się tłumy. A ja, głupi weterynarz, nie wyczułem zagrożenia! Na jednej z imprez, grillu, który moja żona zwykła nazywać „garden party”, pojawił się nowy weterynarz, trzydziestoletni gówniarz. Przyszedł z rówieśniczką z tak mocno nastrzykniętymi ustami, że wyglądała, jakby ktoś przyczepił jej do twarzy wargi sromowe Teresy Orłowski. Na powitanie szarmancko ucałował moją Renatę w dłoń. – Bardzo mi miło, że zaprosiła pani mnie i moją dziewczynę Kamillę na to znamienite barbecue – powiedział. – Christopher Rasmuss jestem. Wymawiając swoje imię i nazwisko, patrzył mojej żonie w oczy tak głęboko, że z pewnością jakimś szamańskim sposobem przywiezionym od Papuasów z Nowej Gwinei, niedaleko których się wychował, zgłębił jej oczekiwania w jednym momencie. Gówniarz okazał się synem polskiego emigranta, który w czasie stanu wojennego dał dyla do Nowej Zelandii. Christopher, jak dorósł, wrócił do kraju ojczystego i ukończył weterynarię, co w oczach mojej żony Renaty uczyniło z niego bardzo egzotyczną postać. Nadmienię tylko, tak przy okazji, że na tym właśnie garden party, cudownym barbecue Chris zrzygał się do bidetu Renaty, a jego uściasta partnerka zatrzasnęła się w ogrodowej ubikacji i musiałem rozwiercać zamek, żeby ją wypuścić.

– Boszsz! O Boszsz, oswobodziłeś mnie w ostatniej chwili. Boszsz! Chris wam nie mówił, ale ja cierpię na straszliwą klaustrofobię, strasznie cierpię! I już zbliżał się atak, czułam to! W ostatniej chwili...

Tydzień później moja żona zakomunikowała mi, że jej usta są zbyt wąskie i chce iść na wstrzyknięcie kwasu hialuronowego. Byłoby znacznie lepiej dla ludzkości, gdyby dobrowolnie zgodziła się na wstrzyknięcie tego kwasu do mózgu. Kto wie, może by się powiększył. Już wtedy, tydzień po imprezie, powinienem wpaść na to, że chce przypodobać się temu miłośnikowi wielkich war, ale nie połączyłem faktów.

Opowiadanie ze zbioru opowiadań: „Opowiadania bez puenty” - autor Sławek Michorzewski.

Premiera wydania listopad 2013

Oczywiście się zgodziłem i zabieg sfinansowałem. Przecież ją kochałem. A teraz pokochać musiałem też jej nowe wielkie wary, mimo iż całując żonę, czułem się, jakbym całował wielkiego żelka Haribo. Efekt wizualny zabiegu przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Renata miała tak spuchnięte usta, że jej twarz przypominała bużkę karpia. Wprost wspaniale, karpie usta tuż przed zbliżającą się Wigilią.

Któregoś z grudniowych wieczorów byliśmy na zakupach w Realu i podeszliśmy do stoiska z rybami.

– Poproszę pięć pstrągów i filet z łososia – powiedziałem, rozglądając się po stoisku.

– Może żywy karp dla pana? – zapytał młody ekspedient. W tym momencie podeszła do mnie Renata. – O, przepraszam! Widzę, że już ma pan swojego – zakończył beczelnie i poszedł nakładać mi do siatki zamówione ryby. Jak gdyby nigdy nic!

Trzy miesiące później, pewnego pięknego marcowego poranka przy śniadaniu Renata oznajmiła, że Chris uratował życie rybce typu welon należącej do jakiejś upośledzonej dziewczynki. Najpierw ściągnął jej wodę z brzucha, a później zrobił lewatywę wywarem z ziół zbieranych w puszczy białowieskiej. Moje sukcesy życiowe i osiągnięcia weterynaryjne w porównaniu z takimi niesamowitymi zasługami gówniarza (tego określenia oczywiście nie użyła) to wielkie nic, wobec czego Renata nie może dłużej dzielić życia z miernotą i mnie zostawia. A konkretnie – to ja powinienem się wyprowadzić.

Tego samego dnia pod wieczór przyszedł Chris przeprowadzić ze mną męską rozmowę dotyczącą warunków mojej kapitulacji. Renata, oznajmiając mi, że go zaprosiła, zapewniała, że będzie to rozmowa na najwyższym poziomie. I była. Chris wyłapał pierwszego gonga, zanim minął ganek. Podobno złamałem mu kość policzkową. A jak miałem nie złamać, jak przylałem mu z kija do golfa, hybrydy numer pięć!? Kiedy trzymał się za twarz i związał z bólu, kopnąłem go jeszcze z całej siły w krocze i nadepnąłem mocno na dłoń, tę wirtuozerską dłoń. Renata rzuciła się na pomoc Chrisowi, a ja tymczasem spokojnie wsiałem do swojego pick-upa i odjechałem spać do lecznicy.

Oczywiście sprawa skończyła się w sądzie. Po krótkim procesie dostałem dwa lata więzienia z zawieszeniem wykonania kary na okres próby trzech lat. Gdybym wiedział, że dostanę tak mało, to bym mu jeszcze złamał nogę, a tak skończyło się na durnej kości policzkowej i dwóch zębach górnej szczęki, co z pewnością nie może zrekompensować mi utraty mojej samicy. Chris, mimo iż okaleczony, wygrał bój, bo był genialny i egzotyczny, a ja byłem tylko prostym weterynarzem. Ot, priorytety czterdziestolatki, spragnionej młodszego samca, wirtuoza weterynarii, intelektualisty i wielbiciela wielkich war. Zostawiłem Renacie i Chrisowi splecione dom i wszystko, co w nim było, nawet stertę starych czarno-białych zdjęć ślubnych. Jedyne, co z niego zabrałem, a w zasadzie ukradłem na złość, to wielki czarny wibrator Renaty. Bardzo go lubiła. Co do reszty inwentarza, to nie chciałem zabierać ze sobą żadnych wspomnień. Ani tych dobrych, ani tych złych. Tatuaż na ramieniu z owczarkiem nizinnym podpisany „I LOVE RENATA”, który sama mi wybrała, też wywabiłem.

Zamieszkałem u Mirka, mojego kolegi ginekologa, kawalera, który mieszkał w miasteczku Skórcz i w dobudówce prowadził prywatną praktykę. Piłem następne dwa miesiące bez przerwy. Piliśmy to, co Mirek miał w szafie, tak zwane podarunki składane przez pacjentki w postaci whisky (najczęściej) lub (na szczęście rzadziej) koniaku. Po trzech tygodniach picia stwierdziłem, że szafa Mirka ma magiczne właściwości. Nigdy się nie opróżnia, wręcz przeciwnie – alkoholu w niej przybywa. Ukochane, umiłowane pacjentki dostarczały nam co chwilę nowy alkohol. Tylko coli nie przynosiły. Szkoda. Po dwóch miesiącach tej prawdziwie męskiej przygody kolega Mirosław (oczywiście pijany) zasnął w swoim gabinecie z palcami w pochwie sędziwej pani Malwiny, kierowniczką poczty. To był moment krytyczny. Pani Malwina poczuła się dotknięta (nomen omen) do żywego. Zaczęła tak głośno krzyczeć, że aż przybiegłem zobaczyć, co się dzieje. Awantura niezemska. Kobieta chciała nawet wzywać policję, nic nie pomagało na jej wściekłość i oburzenie. Mimo usilnych przeprosin przeplatanych błaganiami o litość wypowiedzianych przez pijanego doktora Mirosława G., pani Malwina wyszła na korytarz i wyjęła z torebki telefon. Gdyby zadzwoniła, byłby wstyd na całą wieś.

Opowiadanie ze zbioru opowiadań: „Opowiadania bez puenty” - autor Sławek Michorzewski.

Premiera wydania listopad 2013

– Pani Miszta! pani naczelnik! – Mimo iż byłem pijany w sztok, czułem, że we mnie cała nadzieja, i zwróciłem się do niej poprawnie, nie przekręcając ani jej nazwiska, ani funkcji, choć poznałem je dopiero kilka minut wcześniej. – Pani naczelnik! Żona mnie rzuciła, kolega, pan doktor, mnie pocieszał i tak się właśnie upiliśmy.

– To się odmawia wizyty! – Pani Malwina oddała natychmiast jak dobry bokser.

– Pani naczelnik wybaczy, że przyjmujemy w takim stanie, jednak kolega stwierdził, że jest pani w Skórczu bardzo ważną postacią i mimo że chciał, nie mógł odmówić wizyty. Sama pani rozumie... Zależało mu na pani zadowoleniu i dobrej opinii...

Twarz kobiety złagodniała jak za sprawą czarów.

– No przecież ja nie jestem taka straszna... A pan szanowny to kto?

– Ja jestem weterynarzem z Trójmiasta, obecnie bezrobotnym. Jarosław Odrowąż, dla przyjaciół Odi. Proszę tak do mnie mówić.

Naczelniczka spojrzała na moją czerwoną od whisky twarz i jeszcze czerwieńsze oczy – też zapewne od whisky.

– Odrowąż... Odrowąż... Jakie piękne nazwisko, panie Odi.

– Zapraszam panią do salonu, przejdźmy do środka. – Doktor Mirosław G. rozsunął dwuskrzydłowe drzwi wiodące do zaciemnionego obecnie salonu urządzonego w stylu myśliwskim. Kiedy weszliśmy, zapalił światło. Obrazu tego wybitnie po męsku urządzonego salonu dopełniał peleton dopitych i niedopitych butelek, które zajmowały większą część stołu, znaczną część podłogi, komodę, szafkę i oba parapety. Do tego pełno tu było pustych kartonów po pizzy, plastikowych opakowań od sałatek, garnków i kilku pełnych popielniczek. Nad tym wszystkim górowały poroża zamordowanych przez doktora zwierząt, głównie jeleni, ale też jednego łosia, na których dyndały nasze skarpetki, koszule, tudzież bielizna przyozdobiona w kilku przypadkach okazałą łyżwą. Jak się pije tyle czasu, zwieracze nie trzymają do końca. Kto pił tyle czasu bez przerwy, ten wie, że nigdy, dopóki nie skończy się pierdzieć, nie masz pewności, że się nie zesra. Na koniec, niejako w formie specjalnego bonusu, na środku stołu można było dostrzec na wpół zjedzony tort, w środek którego ktoś, prawdopodobnie ja, wbił okazały, czarny wibrator mojej byłej żony Renaty. Właśnie na nim pani Malwina skupiła teraz swój wzrok.

– Bardzo przepraszam za nieporządek, ale koledze przytrafiło się wielkie nieszczęście i my tak z rozpachy pijemy, jak już wcześniej informowałem – tłumaczył się skruszony Mirek. – Proszę, niech pani łaskawa spocznie. – Doktor wyciągnął spod stołu stare stylowe gdańskie krzesło, strzepnął z niego popiół, odkleił starą pieczarkę, następnie zamaszystym ruchem przetaił rękawem lekarskiego fartucha skórzane siedzisko i podstawił je pani naczelnik pod tyłek.

– Może się szanowna pani napije? Podać szklaneczkę whisky? – zapytałem bardziej z głupoty niż z nadziei, że kobieta będzie chciała w towarzystwie dwóch pijaków, w syfie pomiędzy spleśniałą pizzą a zwietrzałą wodą na myszach, napić się czegokolwiek.

– A tak, poproszę. Golnę sobie jednego. Bardzo pan miły, panie Odrowąż. – Moje nazwisko wymówiła tak, jakby doprowadzało ją to do duchowej ekstazy. – Więc jest pan weterynarzem?

– Jestem, od dwóch miesięcy nie praktykuję – mówiąc to, sprawnie nalewałem do ostatniej czystej szklanki mocny trunek dla gościa. – Wszystko przez rozwód, można powiedzieć.

– A szuka pan pracy, panie Odrowąż?

Doktor Mirosław G., który od kilku chwil zajmował się szybkim uprzątnięciem salonu z artefaktów, właśnie się zatoczył i upadł twarzą w stojące pod kaloryferem butelki, robiąc przy tym spory hałas. Pani naczelnik nawet nie mrugnęła. Po zadaniu mi konkretnego pytania wpatrywała się we mnie, niewątpliwie oczekując szybkiej i twierdzącej odpowiedzi.

– No tak. Szukam... To znaczy jeszcze nie zacząłem szukać... – zacząłem dukać jak uczeń przyłapany na ściąganiu. – Prowadziłem własną praktykę...

– I świetnie! W pobliskim Lubichowie miesiąc temu zginął tragicznie weterynarz. Zapewne pan słyszał? Głośno o tym było, cała Polska wie, bo w wiadomościach trąbili.

– No, niestety, od dwóch miesięcy nie oglądałem telewizji. – Wskazałem ręką na pękniętą matrycę telewizora, w którą w pijackim amoku rzucił butelką mój kompan od flaszki, kiedy

Opowiadanie ze zbioru opowiadań: „Opowiadania bez puenty” - autor Sławek Michorzewski.

Premiera wydania listopad 2013

podczas wiadomości na ekranie pojawiła się gęba ministra zdrowia.

– Zaiste... Zepsuł się nam telewizorrrr... – wtrącił się doktor. Podciągał się właśnie na parapecie, próbując wstać z podłogi.

– A co mu się stało, temu weterynarzowi, jeżeli mogę zapytać? – zainteresowałem się z grzeczności.

– No jak to co?! Meteoryt go zabił na polu, jak do krów jechał. Dach auta przebił razem z nim na wylot! – Pani Malwina powiedziała to takim tonem, jakby śmierć zadana przez meteoryt była w okolicy czymś zupełnie normalnym.

– Aha... aha... – Na żaden mądrzejszy komentarz nie było mnie stać.

– I tak się składa, że teraz cała okolica nie ma weterynarza, a wdowa po nim z pewnością chętnie ten gabinet wynajmie.

– O rany! – Mimo zamrożenia alkoholem bardzo się ucieszyłem.

Nigdy nie myślałem, że śmierć drugiego weterynarza może uratować mnie od popadnięcia w alkoholizm, stoczenia się na dno tu, w tym pomorskim miasteczku Skórcz, wymówienie nazwy którego już przyprawiało mnie o skurcze żołądka prowadzące do wymiotów. Przyznam, że bardzo

się nawet ze śmierci kolegi po fachu ucieszyłem, a sam meteoryt potraktowałem w tym momencie

jak palec Boży i już widziałem oczyma wyobraźni na nagrobku napis ze złotych liter „Bóg tak chciał”.

– Pan mi należy jeszcze jednego – zarządziła naczelniczka Malwina. – Akurat tak się składa, że wdowa po weterynarzu to mojej kuzynki z Lubichowa sąsiadka. Pojedziemy tam jutro, tylko się pan, panie Odrowąż, doprowadź do porządku. Kończę jutro o dziewiętnastej, proszę po mnie przyjechać, uprzedzę kuzynkę o naszej wizycie.

No i na drugi dzień pojechaliśmy. Wdowa, całkiem atrakcyjna cycata blondynka o błękitnych jak niebo oczach i imieniu Ewa, tydzień zastanawiała się, czy wynająć lecznicę po nieboszczyku.

Kiedy po Lubichowie i okolicznych wsiach rozeszła się wiadomość, że ktoś, to znaczy ja, chce przejąć lecznicę i leczyć zwierzęta, do wdowy zaczęli przyjeżdżać okoliczni rolnicy i namawiać ją, żeby się zgodziła. Był nawet z interwencją sołtys. Można powiedzieć, że moja aplikacja złożona na ręce wdowy odbiła się szerokim echem i uzyskała szerokie poparcie społeczne, szczególnie mas pracujących i chłopów.

Dwa tygodnie później zacząłem leczyć zwierzęta. W kolejnym miesiącu poszedłem z wdową do łóżka, aby rok później, po uzyskaniu prawomocnego rozwodu, wziąć z nią ślub. Zrobiłem to bezinteresownie, z czystej miłości, choć pewnie ciężko w to uwierzyć. Zrozumie mnie ten, kto widział wielkie cycki mojej żony i ten błękit oczu. Trudno się było nie zakochać. I tak właśnie razem z Ewą, obecnie Odrowąż, wybudowaliśmy obok lecznicy nowy dom.

Uwiłem nowe gniazdko i byłem znów szczęśliwy, a wszystko to za sprawą Chrisa, który uwiódł Renatę, i meteorytu, który przemierzył setki milionów kilometrów, żeby jebnąć w głowę mojego poprzednika, Andrzeja Lipkowskiego, weterynarza z Lubichowa. Świeć, Panie, nad jego duszą. Spoczywaj w pokoju, Andrzej, podczas gdy ja spoczywam na piersiach twojej byłej żony Ewy i patrzę w jej oczy w kolorze niebieskim.

Doktor Mirosław G. też się ożenił. Teraz spotykamy się raz w miesiącu na męskiej libacji. Taka tradycja. Nawet dużo nie rozmawiamy. Pijemy. Raz ja jadę do niego, do jego salonu urządzonego w stylu myśliwskim, a raz on wpada do mnie do mojego salonu urządzonego zgodnie z wiejską tradycją. Skórzany zegar na ścianie, afrykańska rzeźba pod oknem (wykonana w Indiach), firany sięgające „parkietu” z paneli, dywanik z frędzlami, telewizor na szklanym stoliku, serweta robiona na szydełku, a na ławie – chromowana cukiernica. Taki kozacki mam teraz salon i wcale się tego nie wstydzę.

Ostatnio to Mirek był u mnie. U Gibasa akurat krowa zaczęła się cielić, pojechaliśmy więc, kompletnie pijani, odbierać poród. Ginekolog i weterynarz razem do krowy o imieniu Karolina.

Opowiadanie ze zbioru opowiadań: „Opowiadania bez puenty” - autor Sławek Michorzewski.

Premiera wydania listopad 2013

Wszystko szło dobrze, dopóki doktor nie wywrócił się na podwórku Gibasa i nie upadł twarzą na bronę talerzową. Pociął sobie cały polik, aż zęby było widać. Co było robić? Zszyłem i piliśmy dalej, razem z rolnikiem. Z tym że doktorowi trochę przez przecięty policzek wódka się sączyła. Rano było ciężko. Kiedy Mirek wsiadał do auta, zaproponowałem, żeby przyjechał do mnie za dwa, trzy dni, to szwy obejrzę.

– A co ty myślisz, że ja z owczarkami będę w poczekalni siedział? Za miesiąc u mnie! –
Trzasnął drzwiami i tyle go widzieli.

Lubię to swoje wiejskie życie. Jest proste, ale prawdziwe. Nie nadęte, lecz naturalne jak piersi i usta mojej żony.

Otrząsnąłem się z zamyślenia. Czas się zbierać, wszak dziś męska libacja u doktora w Skórczu. Już najwyższy czas...